



MELISA BEL

MISTRZ
TORTUR

Mroczny romans średniowieczny

Melisa Bel

MISTRZ
TORTUR

Wrocław 2026

Redakcja i korekta
Iwona Wieczorek-Bartkowiak

Korekta
Ewelina Krzewicka

Projekt okładki i ilustracje
Melisa Bel

Ilustracje
Iacobinius Lupus

Skład i łamanie
PanDawer DtP Studio, <https://pandawer.pl>

Copyright © by Melisa Bel

ISBN: 978-83-977136-5-9

Strona internetowa
www.melisa-bel.pl

ZNAJDZIESZ MNIE TEŻ TUTAJ:
Facebook: @melisa.bel.autorka
Instagram: melisa.bel.autorka
E-mail: melisa.bel.autorka@gmail.com

Wydanie I, Wrocław 2026

MODLITWA O ŚMIERĆ

Ruiny klasztoru świętego Arama, 1087 rok

W tym miejscu Boga nie było. Wilgotne, popękane ściany klasztoru oddychały tylko pleśnią, zimnem i starym grzechem. Z wysokiego sklepienia, ciężkiego jak kamienna pokrywa grobu, spadały czasem krople wody, rozpryskując się na ziemi z cichym, miarowym stukiem.

Lydia siedziała skulona na wytartym sienniku i wpatrywała się obojętnie w szarą posadzkę. Chudymi ramionami obejmowała kolana, kołysała się rytmicznie, jakby sam ten ruch miał przynieść jej ukojenie.

Czuła, jak jej okryte lnianą koszulą plecy liże chłód, jak dreszcze wstrząsają jej ciałem, ale nie zważała na to.

Chciała umrzeć.

Nie pamiętała już, jak długo przetrzymywano ją w tej celi. Tydzień? Miesiąc? Rok?

Nic już nie miało dla niej znaczenia, ani czas, ani nawet własne życie. Odkąd straciła bliskich – kochającego męża i córkę, drobną, jasnowłosą istotkę, której śmiech wciąż rozbrzmiewał w jej głowie, jedyne, czego pragnęła, to śmierć.

Usilnie trzymała się myśli, że gdzieś tam, w zaświatach, znów będą razem. Że Cecilia tylko czeka, aż jej mama do niej dołączy, otoczy ją ramionami i przytuli.

Na samo wspomnienie dziecka łzy popłynęły jej po policzkach, a podbródek zdrzął. Zaciśnęła dłonie w pięści i przymknęła powieki. Pozwoliła, by obraz dziewczynki, ostatni, który miała w pamięci zanim oskarżono ją o czary, przywarł do jej zbolącej duszy.

Sądziła, że Rosemarrow to jej dom. Że osada, w której się wychowała, znajdująca się nieopodal wierzbowych moczar i bukowego lasu to miejsce, w którym zazna szczęścia, zestarzeje się i umrze.

Mylili się. Spokojne życie nie było jej pisane.

Jej myśli przerwał odgłos kroków i męskiej rozmowy. Wychwyciła znajomy już, choć dziwnie służący teraz ton głosu przeora i inny, który odpowiadał mu zdawkowo, chłodno i jakby z niechęcią – nie wiedziała do kogo należał.

Podniosła głowę, gdy kroki zbliżyły się i zatrzymały przy kratkach; światło pochodni wydobyło z mroku mężczyznę w długim, czarnym płaszczu, rzucając na niego cień i otaczając diabelską, niemal nadludzką poświatą.

Jego buty nie nosiły śladów błota, a mocne uda i szeroka klatka piersiowa rysowały się pod ciężką, starannie tkaną wełną; choć biła od niego władza i dostatek, jedyną widoczną oznaką jego statusu była klamra spinająca poły płaszcza.

Wstrzymała oddech, gdy jej spojrzenie sięgnęło twarzy. Surowe, ostre rysy trwały napięte w bezruchu, jakby wykuto je z granitu. Wąskie usta, twarde

podbródek, czarne brwi i włosy stanowiły jedynie ponure obramowanie dla oczu: srebrnych, przenikliwych i bezlitośnie zimnych.

Jej serce na moment przestało bić.

Poczuła lodowaty strach, a potem ulgę.

A więc tak wygląda śmierć. Wreszcie po mnie przyszła.

Ale wtedy obok tajemniczej postaci dostrzegła braci pokutników i przeora, a wszyscy zdawali się widzieć go tak samo wyraźnie jak ona.

– To ta czarownica, o której mówiłem, panie. Poświadczona o spółkowanie z diabłem. – Starszy pokutnik wysunął się na przód, jego ruchliwe oczy przylgnęły na chwilę do jej skulonej sylwetki, a potem znów spoczęły na mężczyźnie w czerni. Przeor rozcierał przy tym dłonie i wpatrywał się w niego intensywnie, jakby oczekiwał pochwały. – Próbowaliśmy wszystkiego, a mimo to nie zdradziła nam żadnych szczegółów. Rzuca tylko wyzwiska i oszczerstwa, śmieje się, jakby straciła rozum.

Usta Lydii drgnęły na te słowa. Gdyby została w niej choć szczypta próżności, w tej chwili gratulowałyby sobie w duchu niezłomności. Ale to, czy była odważna, czy tchórzliwa nie zwróciłoby jej ani córki, ani męża, a więc nie miało dla niej żadnej wartości.

Bezwiednie skierowała wzrok na twarz nieznanego. Była ciekawa jego reakcji.

Czy dostrzeże w jego oczach pogardę? Ambicję, by być pierwszym, któremu uda się ją złamać? Czy jej upór będzie dla niego, tak jak dla innych, wymówką do okrucieństwa?

Przez dłuższą chwilę nie spuszczała z siebie wzroku. Jego spojrzenie było chłodne, nieodgadnione i badawcze, a jej uparte i dumne. Uniosła wyżej



podbródek, podejmując w duchu decyzję, że nawet jeśli ten człowiek przybył tu po to, by ją zniszczyć, nie pozwoli mu się zastraszyć.

Niewiele już miała do stracenia, nie pozwoli, by odebrano jej godność.

Mężczyzna drgnął, jakby naprawdę wypowiedziała te myśli.

– To ja ocenię, kto tu stracił rozum.

Jego głos był głęboki i przenikliwy, jakby wydobywał się z dna studni. Zdawał się należeć do kogoś, kto nie ulega naciskom, kto bez wysiłku góruje nad innymi i kto osiąga to, co sobie zamierzy. Brzmiała w nim chłodna pewność siebie, ale też wyważona kontrola, która budziła jednocześnie respekt i grozę.

Lydia dopiero po chwili zrozumiała, że te słowa nie były skierowane do niej, lecz do przeora, który zarzucił jej ułomność.

Zmarszczyła brwi, bo gdyby nie surowy ton oprawcy mogłaby przysiąc, że jej bronił. Potrząsnęła głową, sama szydząc z własnych myśli. Może rzeczywiście zaczynała tracić rozum i dostrzegała wybawienie tam, gdzie nie miało prawa istnieć.

– Przyszedłeś się nasycić, panie śmierć? – rzuciła drwiąco. – Słyszałam o tobie. Milczący Oprawca... Święty z nożem w dłoni. – Głos miała słaby, drżący, ale nie z niedożywienia czy wycieńczenia. To był strach, udający odwagę. Lydia rozumiała, że drażniąc go, sprowadzi na siebie jego gniew i w konsekwencji – karę. I tego właśnie pragnęła. Chciała, by zakończył jej cierpienie. – Poznałam już takich jak ty. Widzicie zło tam, gdzie go nie ma. Zasłanianie się zbawieniem dusz, a to w waszych czynach nie ma Boga.

Nie zareagował tak jak pozostali.

Jego twarz trwała w tej samej kamiennej ciszy, jakby obelgi i bluźnierstwa były mu równie obojętne jak jej oddech. Przez chwilę sądziła, że nie odpowie nic, ale w końcu się odezwał:

– Nie boisz się. – To były pierwsze słowa, które do niej skierował. Czy tylko jej się wydawało, czy ton jego głosu był nieco inny niż wtedy, gdy mówił do braci? Nie wybrzmiewała w nim tłumiona wrogość, raczej obojętność, jakby jej życie niewiele dla niego znaczyło.

Patrzył na nią uważnie, nieruchomo, jak czarny księżę piekieł, który próbuje oszacować, ile warta jest jej dusza.

– Boję się – przyznała. – Ale strach nie czyni mnie twoją.

Kamienna dotąd twarz drgnęła, wąskie usta wygięły się w sardonicznym uśmiechu.

– Wkrótce się przekonamy.

Obrócił się na pięcie. Bracia, którzy stali za nim odsunęli się gwałtownie, wpadając jeden na drugiego.

Mężczyzna w czerni zmarszczył brwi i spojrzał na nich z góry.

– Przygotujcie mniejszą komnatę. A w niej wszystko, co potrzeba.

Lydia wiedziała, o jakim pomieszczeniu mówi – słyszała o nim od innych więźniów. Komnata pozbawiona okien, z żelazną obręczą przytwierdzoną do kamienia i belką, z której zwisały narzędzia tortur. Mówiono, że tamtejsze ściany pamiętają krzyk; że nawet gdy jest tam cicho, słychać echo tych, którzy już stamtąd nie wrócili.

– Tak jest, mistrzu – odparł przeor, zginając się w pół.

– Wiadra na krew się nie przydadzą – dorzucił oschle, jakby to był mało ważny szczegół. Lydia jednak słysząc te słowa, zadrżała i mocniej objęła się ramionami.

A więc stało się.

Podpisała na siebie wyrok.

Bracia rozpierzchli się, by w pośpiechu wykonać rozkazy mistrza. Ten spojrział na nią raz jeszcze, a ona pomyślała, że właśnie rozważa, od czego zacząć tortury.

Przełknęła powoli ślinę i cofnęła się, przywierając plecami do ściany.

– Nie patrz na mnie tymi martwymi oczami! – krzyknęła w odruchu paniki. Nie było już odwrotu, a jej początkowa odwaga zaczęła się kurczyć pod zimnym spojrzeniem mężczyzny. – Nie ma w tobie ani diabła, ani Boga, tylko pustka!

Gardło zacisnęło się jej, dławiąc i tak już przyspieszony oddech.

Nie miała pojęcia, co ją czeka, nie wiedziała, do czego zdolny był ten potwór, ale jeśli wierzyć pogłoskom, należał do najbardziej poważanych w swoim fachu i znał się na zadawaniu bólu lepiej niż pokutnicy. Lydia codziennie była świadkiem niezliczonych tortur: słyszała syk przypalanego ciała, chrzęst miażdżonych kości, krzyki i jęki więźniów... Sama wielokrotnie ich doświadczała, a jej gładkie niegdyś ciało naznaczone było bliznami. Ale z czasem wszystko się goiło, a ona... wciąż nie umierała. Jakby jakaś niewidzialna siła trzymała ją przy życiu, jakby kazała jej trwać mimo cierpienia.

– Zabrać ją.

Krew odpłynęła jej z twarzy, gdy dwóch strażników weszło do celi.

To się zdarzy za chwilę, pomyślała przerażona. Kiedy podciągnęli ją gwałtownie do góry, jej ciało zareagowało odruchowo. Zaczęła się wyrwać i machać na osłep rękami, ale wtedy jeden z nich uderzył ją łokciem w zębra.

– Odpuść. To w niczym nie pomoże – usłyszała słowa mistrza.

Dwóch osiłków wywlekło ją przed celę, gdzie panował chłód tak przenikliwy, że poczuła go aż w zębach.

Kiedy postawiono ją przed mistrzem, uniosła wysoko głowę i, niewiele myśląc, splunęła mu w twarz. Przeor wciągnął ze świstem powietrze, strażnicy jęknęli i zamarli w bezruchu.

Lydia natomiast patrzyła prosto w oczy pięknego diabła, który miał być jej zgubą i wybawieniem jednocześnie.

Czekała, aż ją uderzy, aż zaklnie i jego twarz wykrzywi się z wściekłości. Chciała, by to nadeszło. By wreszcie pokazał swe prawdziwe oblicze, które kryło się za tą chłodną powściągliwością i nieludzkim wręcz opanowaniem.

Ale on był silniejszy, mądrzejszy i... jeszcze bardziej przez to przerażający.

Starł plwocinę z twarzy i spojrzał na kobietę, jakby po raz pierwszy naprawdę ją ujrzał.

Jego oczy błysnęły srebrem i pojawiło się w nich... zaniepokojenie.

Lydia szarpnęła się do tyłu, próbując zmniejszyć dystans, lecz strażnicy mocno trzymali ją za ramiona.

Dopiero kiedy stała tak blisko swego oprawcy, dostrzegła, jak bardzo nad nią górował. Musiała wysoko zadzierać podbródek, by na niego patrzeć, a i tak

czuła się mała i bezbronna. Na tym różnice między nimi się nie kończyły, ona – zmizerniała, odziana jedynie w strzępy starej tuniki, on – okazały i barczysty, obleczony w gruby kaftan, o którego ciepłe mogłaby jedynie pomarzyć.

Z bliska wydawał się młodszy, niż przypuszczała. W kącikach oczu miał drobne zmarszczki, na czole i między brwiami – głębsze; wąskie usta pozostały nieruchome, jakby obcy był im uśmiech. Mógł być jedynie kilka lat starszy od niej, a jednak była od niego ciężka, mroczna dostojność, która dodawała mu wieku.

Kiedy odwrócił się do niej tyłem i dał znak strażnikom, by za nim podążyli, zrozumiała, że kara za jej zuchwały występki nie nadejdzie od razu.

Kątem oka dostrzegła przeora, który przyglądał się temu z napiętą uwagą, zbyt uważnie, by było to zwykłe zainteresowanie. Gdy uchwycił jej spojrzenie, powoli przeciągnął palcem po szyi i uśmiechnął się.

Lydia, wleczona do komnaty swego oprawcy, przypomniała sobie słowa:

„To ja ocenię, kto tu stracił rozum”.

OBLICZE Z MARMURU

Pomieszczenie, do którego ją wprowadzono było ciasne i mroczne. Nierówne kamienie ścian zbierały wilgoć; chłód bił od nich jak ze studni. W rogu komnaty, pod otwartym kominem, tlił się żar w małym, żelaznym kociołku. Obok leżały dwa żelazne pręty: jeden prosty, drugi wygięty na końcu w kształt małego półksiężyca.

Na środku komnaty stał ciężki, drewniany stół, naznaczony ciemnymi plamami po zaschniętej krwi. Po bokach miał zamocowane pasy ze sztywnej, poprzecieranej od częstego użytkowania skóry.

Lydia z rosnącym przerażeniem przesuwała wzrokiem po jednej ze ścian – wyeksponowano na niej narzędzia: żelazny drut zwinięty w ciasną spiralę, kaganiec do rozpychania ust, kilka skórzanych batów oraz gruby kij z nabitymi na końcówkę żelaznymi ćwiekami.

Na sąsiedniej ścianie wbito w kamień dużą, ciemną obręcz, szeroką na długość dłoni. Tuż pod nią znajdowało się mniejsze kółko, przystosowane do przypięcia klamry lub pasa. Kamień wokół był wytarty, jakby ktoś często ocierał się o niego plecami.

Nie było tu niczego zbędnego. Żadnych ozdób. Żadnych znaków wiary.

Kiedy do nozdrzy dziewczyny dotarł zapach palonego ciała, zrobiło jej się niedobrze. Przerazenie podeszło jej do gardła.

W duchu straceńczej odwagi powtarzała sobie, że tortury nie mogą trwać wiecznie. Jej odporność na ból była niska, zazwyczaj traciła przytomność zanim pokutnicy zdążyli wymierzyć jej pełną karę.

Spojrzała na mężczyznę w czerni, który stał odwrócony do niej tyłem i rozglądał się po komnacie, sprawdzając, czy ma wszystko, czego potrzebuje. Swoją surową i niewzruszoną postawą wydawał się stąpić z pomieszczeniem, jakby był kolejnym narzędziem do wyrządzania krzywdy.

Lydia zadrżała, kiedy oszczędnym ruchem dłoni nakazał strażnikom przywiązać ją do żelaznej obręczy.

Znów próbowała się wyrwać, ale gdy zawiązano sznur wokół jej dłoni i gwałtownie podciągnięto do góry, krzyknęła z bólu. Czuła, jak ramiona wyrwywają się ze stawów, a stopy ledwie muskają posadzkę – tylko na tyle, by mogła utrzymać resztki równowagi. Podpierała się na opuszkach palców, zawieszona w pułapce między jednym oddechem a drugim.

Zanim się spostrzegła, drzwi zatrzaśnięto i została sam na sam z oprawcą.

Serce podeszło jej do gardła, gdy zauważyła, że zaryglował drzwi.

Już nie wyjdę stąd żywa.

Ta myśl ją poraziła.

Mistrz powoli obrócił się w jej stronę. Jego sylwetka wydawała się jeszcze wyższa, ramiona szersze, a twarz – chłodna i nieprzenikniona. Zatrzymał wzrok na jej twarzy, a ona wciągnęła powietrze i na

moment straciła równowagę. Zatańczyła nieporadnie na końcówkach palców, ból wykręconych barków sprawił, że w jej oczach pojawiły się łzy bezsilności.

Mistrz zmarszczył brwi i zbliżył się, a ona oczekując uderzenia, odwróciła głowę i zacisnęła powieki. Sznur napiął się boleśnie na jej nadgarstkach, ocierając boleśnie skórę.

Ale uderzenie nie nadeszło.

Mężczyzna zatrzymał się tuż przed nią. Poczowała subtelny zapach ciepłej skóry, drewna i piżma. Rozchyliła nieznacznie powieki, a wtedy przed oczami dostrzegła zawieszony na jego szyi rzemień z medalionem relikwią, który wysunął się spomiędzy połów czarnego kaftana. Zamrugła zaskoczona tym szczegółem.

A więc nie tylko ja kogoś straciłam.

Zanim zdołała się nad tym dłużej zastanowić, sznur na jej nadgarstkach rozluźnił się, a ona stanęła płasko na posadzce. Odetchnęła z ulgą. Ból w ramionach znacznie zelżał, i choć ręce wciąż miała uwięzione nad głową, nie czuła już, że musi walczyć o każdy oddech.

– Dziękuję – powiedziała odruchowo, a wtedy on zatrzymał się, jakby zdziwiło go to podziękowanie.

Uniosła głowę, ich spojrzenia skrzyżowały się.

Stał bardzo blisko, czuła, jak jego wykwintny kaftan ociera się o jej wymęczone, słabe ciało. Uśmiechnęła się drżąco, gdy gdzieś wewnątrz jej umysłu pojawiło się wspomnienie opiekuńczych ramion męża. Jedynego mężczyzny, którego kiedykolwiek kochała. Na krótki moment wyobraziła sobie, że człowiek, który przed nią stoi, nie jest oprawcą, lecz przyjacielem, który zaraz pozwoli jej złożyć głowę na swojej piersi i odpocząć.